

REGINA MOŹDŹEŃSKA

ur. 1922; Luboml



Słowa kluczowe

projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, prześladowania, powrót do Polski, Józef Piłsudski, Symon Petlura, niebezpieczna przeprawa przez granicę, schwywanie przez bandytów, Luboml, spotkanie z rodziną

2. Lekarze, adwokaci i profesorowie byli zwalczani przez władzę. My ruszyliśmy do Polski

Bardzo dużo było takich momentów, że lekarze, adwokaci i profesorowie byli zwalczani przez władzę, która miała tam rządzić. Więc w nocy rozliczano, i rano na drzwiach u każdego był taki krzyż – dwie deseczki gwoździem przybite – nieczynny dom. A przecież wczoraj widzieliśmy jak pani profesorowa chodziła i jej dzieci, i studenci, i pan profesor. Śladu nie było. I później nastąpiła taka historia, że tuż przed wejściem Piłsudskiego z Petlurą nastąpiła manifestacja pożegnania tych, co zostali unieszkodliwieni. To było w prosektorium. Pod sam sufit zwłoki były układane. I biskup prawosławny celebrował na wzgórzu tą uroczystość, był olbrzymi taki kopiec, tą uroczystość. Powiedział tylko dwa słowa: „*Kak nieobyczno smiert', tak nieobyczno i pogriebienie*”. I zeszedł z tego. To było najkrótsze przemówienie, że: „Jak niezwykła była śmierć, tak niezwykły jest pogrzeb”. Ale zeszyły się wszystkie narodowości. Byli Tatarzy, bo tam bardzo dużo było Karaimów z tych wędrowek ludów. Wszyscy w tym uczestniczyli. Mamusia mówi, że do sześciu kilometrów szedł pochód, żeby dojść na ten kopiec. Wzorem tego kopca jest właśnie ten nasz Kopiec Kościuszki, że tam cały czas można dookoła chodzić. Mamusia mówi: „Myśmy bardzo liczyli na powrót do Polski. Dokumenty nasze tam nie były ważne, a my obywatelstwo mamy polskie, a nie możemy do Polski wrócić”. I właśnie na maj było wyznaczone to wejście. A najpierw był taki przyjazny kontakt Petlury z Piłsudskim. Taki porozumiewawczy, przyjazny akt. No i wieczorem oni weszli, no i tu się spotkanie zapowiedziało, że Kijów musi wziąć Piłsudski z Petlurą. A tatusia mamusia wysłała do biura, to się nazywało biuro wizowe, dla wyjeżdżających z kraju. No i tatuś tam pobiegł. Niestety – dwie deseczki na drzwiach, nieczynne. I zanim tatuś wrócił, no to wojsko tutaj jechało i ten porucznik zeskoczył, i do mamusi mówi: „Czy pani mogłaby mi dać szklanekę wody?”. No więc mamusia mówi: „Bardzo chętnie”. I wyniosła mu tą szklanekę wody, a on mówi: „Skąd pani tak pięknie po

polsku mówi?”. – „Ja stamtąd jestem, ja tutaj jestem tylko w delegacji, bo służbowa delegacja była na teren Rosji, bo wszyscy musieli zastępstwo porobić na nieobecnych kasjerów rosyjskich, bo tamci poszli na front”. No i on zaczął mamusi doradzać. – „Słyszysz pani kanonadę? Kijów jest cały otoczony przez czerwonych i nie mamy co tu robić”. I rzeczywiście ten eszelon cały, który szedł z wejściem Petlury i Piłsudskiego, to żaden krzak bzu nie został cały, wszyscy tak rzucali, tak wojsko było witane, a zwłaszcza Polacy. Mamusia opowiada, że do łez się wzruszyła, że tu nagle na wschodzie taka sympatia dla munduru. No i każdy wynosił co mógł, żeby poczęstować. Kto miał ciasto, to podbiegał do tych garkuchni. I przy tym kucharze siedzieli. A mamusia mówi, że szykuje się straszny bój, bo oni nie oddadzą tego, a okrążenie już zamyka się pierścieniem, i w stronę Polski nikt nie wyjdzie. I wtedy właśnie mamusia powiedziała kategorycznie: „Niestety. Ja jestem z mężem i zaczekam aż on wróci”. Jak tatuś przyszedł, to zaczęli radzić. I w tym właśnie dniu pojawił się dziadzio, który po śmierci mamy został tu jako wdowiec. I mamusia mówi: „Niech tatuś jedzie z nami do Polski. Będziemy mieli wspólny dom, bo przecież sam tutaj nie zostaniesz, bo nie masz gdzie”. Tymczasem, jak później żeśmy się dowiedzieli, to dziadzio był bardzo zalotny. Poznał panią dziedziczkę, która na pińskich błotach miała dworek. O głowę wyższa pani. Pani Marcinkowska chyba. No i ona chciała, żeby on jej pomógł podzielić majątek, bo ona sama tego nie umiała zrobić. Mówi: „Jak przyjdą, to zabiorą wszystko”. No więc moja mamusia porozumiała się z tatusiem, i mówi: „Jedziemy do Polski. Tatuś jak znalazł sobie tu panią, to zostanie”. A rodzice szukali jak przejść, bo już pierścień się zamyka. A ktoś ze znajomych, sąsiadów, podszedł do mamy i mówi: „Proszę pani. Jest taki chłop, taki *mużyk* w łapciach, tępy jak nic, ale on wszystkich przeprowadza w stronę Polski, na tą granicę, on wszystko załatwi. Ale trzeba będzie czterdzieści tysięcy rubli. Mamusia mówi, że jak wyjeżdżali z Petersburga, jak zarobili trochę pieniędzy, to wszywała tutaj do kołnierza, bo mężczyźni dawniej mieli takie aksamitne kołnierze do jesionek, czarne aksamitne, a jesionka była szara. Więc pod taki jeden i drugi mamusia wszyła po dwadzieścia tysięcy. I umówiła się mamusia, ale ten chłop powiedział, że tylko prowadzi. - „Do dziewięćdziesięciu kilometrów będziecie państwo szli, po pas w wodzie”. A miesiąc już był listopadowy, tak że jak już się stanęło nóżką, to nawet taki przymrozek tą pierwszą trawę łapał, te pierwsze wody. – „Żadnych bagaży proszę nie brać i gotówkę dajcie”. Mamusia mówi: „Wyplaciliśmy, a część została w tych kołnierzach jeszcze”. A on mówi: „Kosza tego nie bierzemy, walizy nie bierzemy”. Tylko tak powybierał: „Niech pani weźmie tyle, ile pani może wziąć”. No więc mamusia miała walizeczkę z kosza zrobioną, taką jakby neseser zawiązany z poduszką jakąś, i drugi tłumoczek z jedzeniem. Tatuś miał bardzo duży bagaż, bo to żal było to pozostawiać wszystko, a i tak zostało całe mieszkanie nieruszone. Tak gdzieś godzina była koło dziesiątej wieczór, i mówił, żeby nie rozmawiać, bo echo po tych bagnach oddaje bardzo powiększony głos. Takie są czary moczarów. Mamusia mówi, że z początku, to nam to szło ładnie. Ale, mówi, myśmy doszli chyba jakieś ze

dwadzieścia wiorst, ale po pas w wodzie. Ja już ledwo mogłam mówić, bo gardło w zimnej wodzie i ta noc taka. Ojciec się nie odzywa wcale, a chłop idzie pierwszy. Nagle, w połowie drogi, mówi do nas: – „Stać tutaj i czekać, a *ja idu na razwiedku*. Będę robił *razwiedku*, to znaczy takie badanie czy nie mu już gdzieś wojska”. No więc pyta mamusia za ile wróci. – „A, to się jeszcze okaże”. Mama mówi: „Takie nas przerażenie ogarnęło, bo to w stronę Pińska, gdzie te słynne błota pińskie”. I mówiła, że z kępki na kępkę jak nie trafi się nogą, to noga się ześlizguje i błoto zasysa, że niejeden zginął zasmokany tym bagniskiem. Czekamy, mówi, godzinę, zaczęłam płakać, żeśmy się tak dali wykiwać. Opłacona cała podróż, cała przejażdżka w tym błocie, a tymczasem efektu nie ma. On sam mógł zwać. To był taki chłop, że z łyka miał te trepy wiązane, na wysokim podkolanie, jak to Poleszucy nosili takie lniane te onuce. Mamusia mówi: „Nie mamy wyjścia. Musimy czekać czy on wróci, czy nie wróci”. Wreszcie jakaś godzinę i pięćdziesiąt minut, słyszymy: chlup, chlup, chlup. Dla nas, to było jak zbawienie. Patrzymy – idzie. Popatrzył na nas: „Myśleliście, że was oszukałem?”. – „Nie, tak czekaliśmy i czekaliśmy”. Na tych walizach, na tych kosztach zrobiliśmy, mówi, takie siedzenie dla siebie i na tym błocie się siedziało. – „No, to teraz idziemy dalej”. Rzeczywiście było jakieś sto czterdzieści kilometrów, bo jak byli na osiemdziesiątym jakimś kilometrze, to mówi tak: „Zostaje nam jedna trzecia drogi do granicy”. I doszliśmy do takiego miejsca, a on mówi: – „Ile pani ma tylko sił w nogach, proszę zebrać to wszystko i biec, bo tam stoi konnica czerwonych, a teren nie jest górzysty ani krzaczasty, a oświetlony księżycem. Wszystko tak jak w dzień widać. Oni wezmą nas na cel i zaczną strzelać. Więc musi pani biec, żeby uciec z tego kręgu strzału. Z daleka będą bili, nie będą dojeżdżali do nas”. No więc jakoś się tam zmobilizowali i dopadli do takiego zagajnika. I mówi: „Teraz proszę sobie odpocząć”. Gdzieś z krzewów wyciągnął takie sanki, takie co to czasem bywają tylko dla konia z jednym pasażerem, takie wiejskie, z samego drewna zrobione. Czyli widocznie on miał to dla innych też, jak ich przewoził. No więc mamusia mówi: „Czy można usiąść, bo już strasznie zmoknięci jesteśmy i zmęczeni”. – „No, można”. Ujechaliśmy chyba z piętnaście, metrów, patrzymy - karabiny, ognisko płonie, czerwoni mają swoją placówkę. – „*Stoj!*”. On ich prowadził konkretnie na tą wartę. I mama mówi do niego: – „To jest draństwo, żeby tyle nas wymęczyć, tyle udawać, że to jest taka przeprawa trudna, żeby do Polski się można było dostać. I teraz co? Wpadliśmy”. Nic nie powiedział nawet, tylko czapkę założył sobie i od razu poszedł w swoją stronę, z której przyszedł. A ci od razu: „Dokumenty! Posprawdzać”. No więc tatuś wyjął. - „Aha, kolejarz z Polski. To wy jesteście fałszerze rzeczywistości. Chcecie jechać, to jeszcze zobaczymy. Jak przyjedzie nasz komisarz, to on zadecyduje. Na razie to marsz!”. Skierował rodziców do takiego pomieszczenia, jakby leśniczówka, jak to czasem w lesie bywa taka leśniczówka, stanica dla samego gajowego. Mamusia mówi: „Weszliśmy, a tam straszny widok”. Bo to na Polesiu, w tym rejonie, to tam był taki zwyczaj, że ikony wiszą pod kątem pod samym sufitem, jedna ikona przy drugiej. Święty Mikołaj, święty Georgij, święty tam taki, taki. Jeden

rząd i ręczniki haftowane na tym zawieszono. To jest taki zwyczaj. I jeszcze stawiają lampeczkę oliwną pod takim obrazem na podwyższonym miejscu, i to płonie całą dobę. Taki zwyczaj, żeby uczcić obraz świętych. Mówi: „Wchodzimy, a te obrazy wszystkie karabinem przestrelone”. Obraz okropny. Żadnych ręczników, nic nie ma, tylko te obrazy tak poszarpane, bagnietami poprzebijane. I podwyższenie jest dla komisarza, to widocznie ten gajowy tam urzędował, i z drugiej strony była barierka, tak jakby za tą barierką ktoś musiał zeznawać. Tatuś mówi, że byli przerażeni, bo to towarzystwo miało szpikulce i tu czerwona gwiazdka. Okazuje się, że to była placówka pozarządowa, do rabowania ludzi, którzy uciekają do Polski. Zanim odjadą, to jeszcze ten majątek tutaj trzeba od nich zabrać. Więc w lesie placóweczka stała nielegalna. Zebrała tych mołojców, którzy mieli odwagę do tego należeć. Ten jeden, to zaprzyjaźnił się z mamą poprzez gitarę, bo zobaczył, że mamusia ma gitarę, bo mama z gitarą na plecach szła. Więc mówi: „Dam pani adres do Pińska, bo tam została moja mama. Ja już nie mam nadziei, że wrócę do Pińska. Niech pani mamę pozdrowi i powie, że pani się ze mną widziała. A ja będę tu pomagał, komisarza będę ustawiał, żeby państwo puścił jakoś, żeby nie rabował. Bo on ma taką siostrę i urząd jej, to się nazywa *tamoźnja*. Jak ta siostra z tej *tamoźni* przyjedzie, to jedna ta poduszka temu co odjeżdża, a jedna dla nich. Wszystko na pół. Jak jest obrus ładny, to tną na połowę, połowa tobie, a połowa tu”. Tej *tamoźni* wszyscy się tam bardzo bali. O piątej nad ranem czy o szóstej pojawił się komisarz i jego siostra - jak ktoś sobie wyobraża Horpynę z tego filmu, to ona tak wyglądała - taka wielka baba o twarzy raczej można sobie wyobrazić, no i naturalnie w mundurze. Jak weszli, zaczęli otrzępywać się, i od razu jeden z tych żołnierzy melduje komisarzowi, że właśnie są uciekinierzy. – „Ach, uciekinierzy. Od czego, od naszej władzy uciekają? To my się tu zaraz z nimi rozmówimy”. I poprosił tatusia do tej barierki, i tak go palnął, bo oni mieli takie nagany, z krótką rękojęścią, to tak uderzył, że od razu całe oko zaszło czerwono i zaczęło puchnąć”. Więc złapał się za tą twarz, a on mówi: – „*To wy Paliaki sabataźniki, wy sabataźniki*”. – „Ja nigdy nie był żadnym *sabataźnikiem*, jechałem po prostu do pracy, a teraz z pracy wracamy”. – „To jeszcze zobaczymy czy wracacie. A kto tu na gitarze gra?”. – „Moja żena”. – „*No, to wam haraszo żywiotsja, wiesieło. Żiena igrajet i pajot. Możiet spajot szto nibut*”. Kto sobie wyobraża, żeby w tych warunkach ktoś próbował śpiewać? Bo to się śpiewa albo z radości, albo z zadowolenia. A tu ze strachu nogi się trzęsą, a ten bandzior siedział za tą barierką, ważniak. I mamusia mówi, że zauważyła, że ten chłopiec z Pińska, który tak z nimi trzymał sztamę, co tak matkę swoją chciał pozdrowić w tym Pińsku, to przysunął się do niego, położył mu karteczkę na stole i coś na tej kartce napisał, ale nie wie co. W każdym bądź razie tamten podarł tą kartkę, wyrzucił. A ten wziął gitarę i parę akordów zagrał, i do mamy mruga: – „Niech pani coś zaśpiewa”. Więc mama zaśpiewała wtedy tą piosenkę, którą w Rosji miała przygotowaną, że: „*Wajna eto gołod, balieźń i szczita. I trotit molitwy, lubwi biezkaniesznoj i wiery nadzieždy wsio swiatyje dary...*”. To jakby definicja tego, co wojna robi z ludźmi, że to są szpitale

pełne pielęgniarek, ludzie pokrwawieni i ranni, i ten szept modlitwy ciągłej o ratunek. Nic. Uspokoilo się. Wszyscy sobie taką drzemkę ucieli i jak ta siostra zajechała. – „No, to *pajezdzajem*”. Coś on tam do niej powiedział. Na jego twarzy nie było miejsca, gdzie by ospa nie wyjadła, tak jakby ktoś grochem wymłócił na jego twarzy. A że to był starszy człowiek, po czterdziestce, po pięćdziesiątce nawet, no to odrażający wyraz twarzy. No i kazał sięść na takim wózeczku czterokołowym, taka taczka. Mamusia usiadła i tatuś, a tutaj na koniach czterech tych mołojców, i do zakrętu będziemy jechać, a na zakręcie dopiero się okaże co. A tam odchodziła droga jedna, a druga do granicy. Więc ten z Pińska chłopiec cały czas przy mamie jechał. Mówi: – „Niech pani prosi na wszystko, żeby pozwolili na prawo wam pojechać, żeby na prawo. Ja już też napisałem mu karteczkę, tak że on tam będzie już wiedział, że ja jestem, żeby wam pomagać”. No i dojechali do tego zakrętu i ten komisarz się obrócił i mówi do tatusia i do mamy: – „*Żal mnie was. Pajezżajtie. Tylko nikamu nie gawaritie żeście kogoś spotkali*”. Mamusia mówi: – „A o czym tu rozmawiać. My jesteśmy tak stęsknieni za ojczyzną i za rodzicami, bo jedziemy do rodziców swoich”. – „No, to *pajezżajtie*”. I myśmy ruszyli, ale cały czas tak się człowiek spodziewał, że może w tył głowy dostanie strzał, bo to takie były zwyczaje, że czasem kogoś puścili, ale walnęli mu w czaszkę. Jeszcze przed tym ona dała trzy strzały w powietrze. On też. Tak jakby żegnali nas, taką salwą triumfalną. I na galopujących koniach odjechali wszyscy za tą swoją stanicę, a myśmy tutaj do tej granicy dojechali. Tu już stała właśnie kuchnia zorganizowana przez amerykański Czerwony Krzyż. I policjant – komendant granatowej policji naszej zapytał o dokumenty. Tatuś pokazał mamy i swój. – „Ja z państwem nie będę mógł rozmawiać, bo jesteście zaziębieni, w ogóle mówić nie możecie”. No, bo jak się wodą szło po pas... Skierowali nas na taki nocleg, gdzie była przygotowana kąpiel w balii. Tak że my siedliśmy w tej balii, jak pralnia miewa takie duże balie z mydłem, i ze szczotką. Potem, mówi, dostaliśmy wódki gorącej z miodem i pod dwie pierzyny załadowali na nas. Boże, jak pociliśmy się cały czas. Rano się budzimy, i rzeczywiście – i głos się odzyskało, i to. Tylko zmęczenie już zostało takie. Komendant powypisywał przepustki, zapytał tylko dokąd chcemy jechać. A to już od Pińska do Kowla niedaleko. A my mówimy: „My nie do Kowla, a raczej do Lubomla, do rodziców”. Tak się zanosilo na Wigilię za parę dni i babcia przywitała, mówi: „Mija dziesięć lat od twojego zamążpójścia, i co, teraz będziesz rodzić tutaj?”. A sąsiadka przyszła na tą Wigilię z takimi życzeniami, taka wiejska kobieta, i babcia mówi, że moja mama prosi o ogórki kiszzone. To ona przyniosła taką makotrę dużą, a makotry, to są takie z gliny do tarcia maku. To taki z górą załadowany wszystkimi ogóreczkami, niedużej wielkości, i wszystkie mamusia w ciągu Wigillii zjadła. A ta sąsiadka mówi: „No, to spodziewamy się, że teraz tylko poród będzie, bo ogórki, to się je właśnie na poród”. No i tak cały czas wszyscy tam żartowali, że przez całą Rosję, przez całą drogę nie chciałam się urodzić, aż do Polski przyjedziemy. No i tak się stało, że właściwie zostaliśmy w Lubomlu na jakiś czas, żeby szukać pracy.

Data i miejsce nagrania	2012-09-28, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Mateusz Czekaj
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"